Nr. 17. We Lwowie dnia 27. kwietnia 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha



ZE SZTUKI.

Portret to wielkie słowo w mowie sztuki. Portret stanowi zazwyczaj kamień probierczy dla największych talentów; nie będąc portrecistą nie można puszczać się na kompozycje w szerokim stylu, na portrecie kształci się najlepiej młody talent, przez sumienne studja portretowe niejeden zmanjerowany artysta powrócony został sztuce prawdziwej.

Prócz powyższych zalet, które zawsze i wszędzie w dziedzinie sztuki mają walor — portret dla malarstwa polskiego wogóle, a specjalnie dla artystów na naszym jałowym gruncie lwowskim, ma jeszcze jedno znaczenie, które wprawdzie nie jest artystycznem, lecz, jak amen w pacierzu, kończy wszelką dyskusję i odbiera głos przeciwnikom. Oto portret jest u nas jedynym jeszcze rodzajem malarstwa, który pozwala artyście, nie przeniewierzając się sztuce, żyć jako tako z pracy pędzla. Publiczność nasza jest za biedna, aby rozmiłować się w obrazach wogóle, ale niepodobna jej zarzucać takiej ignorancji, aby portrety traktowała na równi z fotografją. Nauczono się już we Lwowie cenić portret, a co ważniejsza nauczono się go rozumieć.

W lwowskiej kolonji artystycznej niema też z pewnością ani jednego, któryby na tem polu sił swych nie próbował, a na pochwałę tej naszej kolonji powiedzmy, że niema w niej ani jednego, któryby portretami swoimi zrobił — fiasco.

Owszem na wystawie lwowskiej można widzieć prace z tego zakresu nawet bardzo dobre, a że nie wytworzył się jakiś specjalny typ portretu lwowskiego, że się nie wytworzyła lokalna manjera, szkoła, to tylko za zaletę poczytać należy. Dość przypomnieć sobie liczne, odznaczające się podobieństwem i spokojem portrety Styki, Augustynowicza z jego kreacjami pełnemi młodzieńczego rozmachu, a w ostatnich też czasach śmiałych prób kolorystycznych, oryginalnego zawsze Dębickiego, który i w nielicznych swych portretach oryginalności tej nie stracił i młodego a obiecującego artystę Tadeusza Kruszewskiego i Pająkównę, o której swe zdanie już wypowiedziałem i wreszcie Krzesza wraz z Kotowskim, których wymienimy na końcu, gdyż właśnie o nich zamiar mam pomówić, a okaże się, że jeżeli artyści nasi w roli portrecistów nie są „jako dzikie sosny boru", które między sobą nie mają łączności krom powietrza wspólnego, to zawsze dość posiadają oryginalności w talencie, aby nie popaść w naśladownictwo, czyto wzajemne, czy jakiegoś wspólnego wzoru.

Ale największą może sztuką jest pozostać oryginalnym bez silenia się na oryginalność, być

sobą bez pozy, a w prostocie uchronić się od banalności. Na takim to wązkim kańcie z powodzeniem utrzymuję artystyczną równowagę Damazy Kotowski. Że od pierwszej chwili, od pojawienia się we Lwowie »Portretu żony artysty«, krytyka oddawała mu i oddaje wszelkie pochwały, w tem nic dziwnego, że zaś pochwały te oddaje publiczność to dobrze świadczy o jej smaku artystycznym.

Prostota portretów p. Kotowskiego bywa uderzająca. Nie przystraja on swoich modeli w kontusze, delje i wogóle w oryginalne, zwracające uwagę stroje, nie nadaje im pozy uroczystej, patetycznej, ani gwałtownej. Owszem portrety jego robią wrażenie, jakby artysta umyślnie pod tym względem silił się o pewną powszedniość, aby zbyt silnym, czy drastycznym efektem niezatrzeć, lub nie osłabić delikatnych odcieni, na których charakterystykę porterowanych przez siebie osób zasadza. Wzrok widza, przechodząc szczegóły portretów Kotowskiego, mimo staranności ich wykończenia, nie uwięza na żadnym, aż zatrzymuje się dłużej na twarzy i to specjalnie w okolicy oczu, gdzie najłatwiej odbijają się wszelkie subtelne wyrazy.

(Dok. nast. *Jan Zgoda.*

MIĘDZY PŁOTAMI.

(Z cyklu poezji prozą: „Łzy i uśmiechy“).

Co za przecudne te popieluskie sady, gdy na wiosnę rozkwitną! Zaczarowanym stają się ogrodem, pełnym słodkiej, świeżej woni drzew wiśniowych, jabłoni, grusz i dereni, pełnym jak na wesele przybranych dziewic, bo drzewo każde to jak panna młoda, w lekkiej białej zasłonie, z poza której przebija rumieniec; a drogi i ścieżki, zasypane opadłem kwieciem na cal wysoko, puszyste i świetne, jakby czekały na przejście nadziemskich istot, których powietrzne stopki nie zgniotą tych lotnych, pachnących kobierców. Cisza tam uroczysta wieczorem; dziwne szmery, nieuchwytne szelesty, tajemnicze szepty rozwiniętych w pełni kwiatów, roznoszą słowa niepojęte dla człowieczego rozumu, ale zrozumiałe dla zmysłów i serca, które wrażliwe a pragnące, rozmarzają się tem weselem przyrody, temi godami bujnej roślinności, tym ślubem kwiatów, drzemiących rozkosznie w złotej kolebce zachodzącego światła. Powietrze lekko dyszy upojeniem szczęścia, a drzewo każde, i kwiat każdy, i każdy listek, i kielich kwiatu, oddaje się cały w swej majowej żywotnej sile prawom przyrody, krążącym wszechwładnie od głębin ziemi do chmur różowych na widnokręgu. Ogromny puls wiosenny bije wewnątrz, w słojach potężnych korzeni, rozchodzi się po konarach, tętni w gałęziach, wstrząsa gałązkami, gra w szypułkach, napełnia kielichy, płonie w koronach tryskającą barwą, drży w słupkach chwieje pręcikami, i woń cudowna świeżego życia i miłości wylewa się z tych ślicznych, czystych organizmów w przestworze, unosząc wprost z trybularza przyrody uroczysty hołd dla nieskończonej, twórczej Istoty. .

Ach... ten prąd, po drodze, przechodzi i przez ludzkie serce, niezawsze zdolne, niezawsze będące w stanie dzielić te naturalne uniesienia, serce oderwane z łańcucha zwykłej koleji życia, zsunięte z nitki prawidłowej, jak perła samotna, zarzucona przez nurków w piasku morskim, serce które łaknie, dąży, mnoży w sobie pragnienia, tylko ich dzielić nie może, nie ma z kim, nie wolno mu, nie ma czasu, lub bije zdala od sprzyjających warunków, rzucone dla udręczenia, jak na czarowną wyspę, w ten wspaniały, upajający raj wiosenny...

Po mojej robocie poszłam odpocząć do tego niebezpiecznego sadu. Świeżość, woń, ten uroczy obraz drzew, obrzuconych bielą, cisza i tchnienie twórcze kwiatów, uniosły mnie radością. Co za szczęście! — myślałam, — tak chodzić po ścieżkach, zasypanych kwiatami, zanurzać wzrok w tej obfitości kwiecia na gałęziach, oddychać ożywczym zapachem drzew owocowych! Miałam ochotę rozmawiać, wynurzać swoje myśli, pokazywać komuś piękniejsze drzewa i krzewy. Bardzo też wkrótce przyszło mi do głowy: jakby to dobrze było być tu — razem... z kimś bardzo drogim... bardzo kochanym... na twarzy, w oczach, miłej sercu osoby śledzić echo własnych wrażeń...

I dusza pod lawiną listków jabłoni odezwała się, ocknęła z nieczynnej drzemki, w jakiej często ją trzyma życie, dudniące ponad nią codziennemi swemi sprawami, nie mającemi nic wspólnego z losem jednostki. Ciepłe prądy przyrody zaczęły działać i we mnie. Najgłębsze korzenie mej duszy zaczęły się niecierpliwić w twardym gruncie rzeczywistości; konary spracowanej woli odgięły się, zmęczone, od syzyfowej walki wewnętrznej, gałązki pragnień wyciągnęły ramiona, na delikatnych szypułkach wrażliwości rozkwitał kwiat marzeń, i też pragnął w ten cichy wieczór majowy mieć swoje wesele, swój ślub szczęścia, swoje zadośćuczynienie. — Zrazu, ten stan rozbudzonego stanu ducha i zmysłów był bardzo przyjemnym; zdawało mi się, że dokładniej wszystko widzę, że subtelniej słyszę najlżejsze drżenia przyrody, że czulej doświadczam zewnętrznych wpływów, bijących we mnie z powietrza urodzajną falą; zaczęłam szybciej chodzić po ścieżkach, szukając jakiegoś kresu, celu, końca, rozwikłania uniesień, ukojenia tego roślinnego, wiosennnego niepokoju, który mnie opanował... aż w końcu, zwolniłam kroku... Ta ścieżka nie doprowadzi mnie nigdzie. . to, coby mnie ucieszyć mogło jest daleko... tak

daleko, że żaden pośpiech nie zbliży mnie... Teraz, wrażenia majowe zaciężyły mi boleśnie; napróżno otworzyła się dusza, rozkwitnęły zmysły, buchnęło płomieniem młodym serce... Poco? po co? kiedy daleko, daleko był ten sad, w którym jabym zakwitnąć mogła... tu byłam przesadzonem drzewem, obcą rośliną bez gruntu... zresztą, czyżbym i tam rozkwitła? To niepewne.. Daleko.. to jeszcze nic.. ale — nigdzie, to już miejsce nie do znalezienia! Coś mi w sercu strzyknęło, a w tej chwili z krzaka jaśminu zaczął słowik stepowy zawodzić: — ah, ah!... ahah! — Tego mi już było za wiele, uciekłam z zasypanej kwiatami ścieżki na koniec sadu i znalazłam się między dwoma płotami, na wąskiej drożynie, dzielącej ogród od dziedzińca folwarcznego. Górą z za parkanu szły jeszcze zapachy i widniały tu i tam kiście białego puchu, — ale nie widziałam już tej całości tumaniących wrażeń. Odpocznę tutaj — pomyślałam. Za folwarcznym płotem zrazu było cicho, potem wrzawa głosów się zerwała, kończono zapewne robotę dzienną, a że to była sobota, więc i tygodniową; jakieś liche skrzypki dźwięknęły, jakaś kobza zawtórowała, i naraz huknęła kozacza muzyka, zatupotało kilkanaście nóg na twardem klepisku, i świeży, pełny, ochoczy głos buchnął na całe gardło:

Czum! czum! czum! poberemsia!
Budeme panowaty!
A ty budesz kini pasty,
A ja budu pohaniaty!

Zawtórował śmiech dziewczęcy, wesoły, przeciągły, rozigrany i wionął raźny szelest tańczącej gromadki. Przystanęłam. Ciekawość mnie zdjęła, jak oni tam wywijają. Widziałam lud tańczący przed dworem ochoczo, lecz z umiarkowaniem, jak na popis zręczności w wirze i prysiudach, ale chłopi tak, jak dzieci, dopiero się wtedy bawią w całej pełni i swobodzie, gdy nikt na nich nie patrzy. W płocie była dziura, przez którą mogłam doskonale widzieć wszystko. Okręcało się raźnie z dziesięć par; parobcy ze stajni nie umyci jeszcze na niedzielę, kozacy dworscy w porządnych butach, szerokich szarawarach i kurtkach bronzowych, przepasani błękitnymi pasami, porywali do tańca stojące w kupce dziewczyny, które wprost od roboty przybiegły, bose po części, w czarnych lub granatowych spodniczkach, białych fałdzistych koszulach, ciemnych fartuchach, wesołe i chętne do zabawy.

(Dok nast.). *Szczęsna.*

Alfred Tennyson.

Zamek Locksley.

(Dokończenie.)

Taką była radość moja,
nim się w żądzach duch mój starł,
Nim się serce spopieliło,
nim w źrenicach ogień zmarł —

W tych źrenicach, którym dzisiaj
snać się rozprzągł wszelki byt,
Którym wiedza ledwie pełza,
by leniwiec, drogi syt;

3)

Dr. FAUST.

OBRAZEK.

(Ciąg dalszy).

— Gdybym to ja wziął się do takich rzeczy i znalazł chociaż cień jakiś do prawdy podobny, a potem zwarjował, byłby to piękny koniec dla starych gnatów i starej skóry... Cień nowej prawdy więcej wart, niż setki starych formułek. Ale ten... zdrowy lew, u którego nawet rany serca zabliźniają się od powiewu wiatru... ten duszy całej w błędne ogniska wkładać nie powinien.

— No, byleby wrócił.

Winciarze kończyli kolację, pili zdrowie narzeczonego.

Nieco pijany śmiech rozległ się po cichym domu.

Struś obejrzał się przez ramię na pusty gabinet.

Szerokie liście latanji poruszały się zlekka nad fotelem przy biurku. Piękny biust Fausta z białego marmuru, ustawiony na bibijotece, spoglądał z góry na stolik zarzucony kartami, pokryty szeregiem cyfr niezapłaconego rachunku.

II.

W ogrodzie okwitały nasturcje, z lip i akacij sypały się zżółkłe liście, w słonecznej atmosferze unosiły się nici pajęczyny.

Cisza; słychać szczebiot wróbli na obnażonych lipach, od czasu do czasu zalatuje turkot z oddalonej ulicy.

W pałacyku, wsuniętym w głąb ogrodu, wszystkie okna otwarte naoścież; to Struś przewietrza pokoje po psie, Oborskim.

Cisza.

Przed rokiem jeszcze czteroletni chłopak, zdrów, silny, rumiany, biegał tu z biczykiem po ścieżkach dokoła klombów, bujał się na huśtawce, brykał i dokazywał, rad z życia, ze swobody, śmiał się do dnia jasnego, do słońca, przed którem mrużył niebieska oczęta! Zdrów, silny, rósł i rozkwitał! W najodleglejszych kątach ogrodu rozlegało się echo jego żwawych stopek, rozle-

Zwolna głodny tłum się skrada,
jak ten lew wśród pustych dróg
Ku wędrowcom, których mozół
przy gasnącym ogniu zmógł...

Ach! a jednak wielkie cele
przekazuje wiekom wiek;
Jednak w górę hen! za słońcem
pnie się myślą swoją człek.

Ale temu, co nie zbiera
plonu z ziarn swych młodych lat,
Na co zda się, że wieczyście
młode serce ma ten świat!

Wiedza kroczy, mądrość stoi —
i mnie ten wstrzymuje ląd...
Świat z dniem każdym się rozwija,
gdy jednostka — człowiek zwiądł.

Wiedza, kroczy mądrość stoi —
a z brzemieniem smutnych prób
I doświadczeń człowiek stąpa,
gdzie go cichy czeka grób...

Już mnie dźwięczną wzywa trąbką
mych wesołych druhów rój —
W pośmiewisku u nich będzie
ten szaleńczy ogień mój.

Czyż nie śmiech to z strun starganych
wydobywać taki zgrzyt?
Żem tak marną kochał duszę,
snać mi wnętrze spali wstyd...

Słabość gniewem ziać na słabość!...
Boleść kobiet, kobiet żar
To natury popęd ślepy,
co się w mózg ciaśniejszy wparł.

Lichszy człowiek jest w kobiecie:
tak się ona do nas ma,
Jak do słońca blask księżyca,
jak do wina woda zła —

Tu przynajmniej, gdzie niklejszym
jest natury wszelki płód...
Bodaj pójść mi, gdziem wziął życie —
na słoneczny pójść mi Wschód!

Tam, gdzie w walce z Mahrattami
padł, zakłuty, ojciec mój...
Mnie, sierotę, w swą opiekę
samolubny zabrał wuj.

Tam, zwyczaju krusząc pęta,
hen! ku bramom rannych zórz
Bujać sobie niewstrzymany
z wysp na wyspy pośród mórz.

Tam promienniej gwiazdy świecą,
błękitniejsza niebios toń,
Tropikalnych palm korona
tam ocienia Raju błoń.

Tam to okręt nie zawinie
z europejskich szumem flag;
Nad gajami, nad lasami
trzepie skrzydłem wolny ptak.

---

gał się odgłos śmiechu i szczebiotu. Ptaszki przyglądały mu się z dachu, z gałęzi, spoglądały na siebie i znowu śledziły ciekawym wzrokiem swawolne ruchy chłopięcia. Wzdłuż ścieżek, po których biegał, poruszały się róże, drgały liście na krzewach, ożywione prądem młodego, swawolnego życia! Zmęczony, tarzał się z psem po trawie, w końcu zasypiał, wpatrzony zmrużonemi oczkami w szafirowe niebo. Nad jasną główką igrały motyle, brzęczały pszczoły, ptaki, jakby zdumione spokojem rozhukanego malca, zlatywały z gałęzi na krzaki, przyglądały mu się uważnie, a chłopak spał z rękami pod głową, z otwartą buzią...

Raz zbudził się osowiały, powlókł się do domu, ciągnąc za sobą biczyk w opuszczonej ręce. Ścieżka wydała mu się dziwnie długą... szedł, przystawał... chwiał się, uśmiechał z przymkniętemi oczyma, przechylając główkę z ramienia na ramię, a za nim wlókł się ponter, wierny stróż i wierny towarzysz w zabawach; i on przystawał, spoglądał na malca uważnie, szedł dalej noga za nogą, ze spuszczoną głową, z opuszczonym ogonem; wszedł za nim do mieszkania, a gdy osowiałego chłopaka ułożono w łóżeczku, ponter zasunął się pod łóżeczko i słuchał.

W pokoju malca zaroiło się od lekarzy: w dzień i w nocy bywało po pięciu i sześciu naraz: szeptano, rozprawiano, naradzano się... a ponter słyszał przyśpieszony oddech dziecka i coraz słabsze uderzenia serduszka... Ile razy wysunął głowę z pod łóżka, albo gdy po krótkiej przechadzce wracał do pokoju, przy chorym malcu widział ojca... ten nie rozprawiał, nie szeptał, nie naradzał się... Stał przy łóżku malca i, jak ponter, słyszał tylko przyśpieszony oddech i coraz słabsze uderzenia serduszka... Pies obchodził go zdaleka, ostrożnie, a gdy stanął za plecami, podnosił głowę.. W twarz spojrzeć nie śmiał; tyle w tej twarzy było beznadziejnej rozpaczy, tyle żalu i bólu... że ile razy spojrzał na niego zukosa, wysuwał się z pokoju i wył żałośnie za węgłem domu, Służący bili go kijem, kopali nogami, żeby wyciem nie wywoływał śmierci. To też ponter, wróciwszy do pokoju, spoglądał tylko na buty pana, czasem widział załamane ręce, ale w twarz spojrzeć nie śmiał!...

Z drzew się plenny sypie owoc,
z skał się zwiesza kwiatów maj;
W purpurowych mórz obszarach
wysp słonecznych leży raj.

Tam jest większa rozkosz dla mnie,
niż gdzie duch swój toczy krąg
Pośród statków, dróg żelaznych,
Śród tych dążeń, śród tych mąk!

Tam namiętność niestłumiona
będzie mieć swobody w bród;
Z dzikich kobiet pojmę żonę —
niech mi karmi czarny płód.

Syn mój zwinny, a żylasty,
w rzekach, w górach będzie rósł
z oszczepem lśniącym w ręku
gonił stada dzikich kóz.

Tak! papugi będzie wabił,
chwytał tęczy barwny pas,
A nie ślęczył nad książkami,
tracąc wzrok, marnując czas.

Głupcze! znowu sny i mary!
Znam pustotę swoich słów!...
Wszak od dzieci chrześcijańskich
lichszym barbarzyński chów.

Ja — od zwycięztw naszych zdala?
ja — towarzysz wązkich czół?
Czyżbym życie, jak zwierz lichy,
z namiętnością lichą skuł?

Złączonemu z brudną dziką
czemby urok słońca był —
Mnie, stuleci spadkobiercy,
co śród pierwszych walczę sił?

Wolę raczej, aby naraz
wszystkich ludzi spotkał skon,
Niżby ziemia stanąć miała,
Już ów miesiąc w Ajaton.*)

Nie na darmo dal ta nęci!
Naprzód! Naprzód idźmy wraz!
Niechaj świat się chwyta koła,
które przed się toczy czas.

Przez pomroki tego globu
dążym w jasność młodych dni...
Niż stulecia Chin, Europy
Lat pięćdziesiąt milsze mi.

Matko-Czasie (swej nie znałem)!
wspieraj-że mnie tak, jak wprzód:
Krusz gór skały, rzucaj gromy,
słońca waż, tocz fale wód!

O, zapowiedź nie zmarniała,
którą ongi niósł mój duch!
Owe dawne źródła natchnień
Znów się w twórczy budzą ruch.

Niech się teraz cobądź stanie!
Żegnaj, żegnaj Locksley Hall!
Niechaj uschną twoje lasy,
padną przęsła twoich sal!

*) Na rozkaz Jozuego.

Chłopak zgasł po tygodniu choroby..

W ogrodzie kwitły kwiaty, brzęczały pszczoły, motyle igrały w słońcu. Ptaszki przez pierwszy tydzień oglądały się niespokojnie na trawnik, na puste ścieżki. Nasłuchiwały...

Żwawy chłopak z jasną główką nie pokazał się już więcej w ogrodzie.

Przez ten rok dr. Faust stworzył sobie świat nowy, oderwał się od marnych drobiazgów życia, zapomniał nawet o boleści! Wynalazł... odkrył... domyślał się.. a raczej uwierzył, że jest na drodze do wielkiej prawdy, rzucającej nowe światło na śmierć i dalsze życie.

Dziś wracał do domu... zupełnie spokojny.

Atletycznej budowy, średniego wzrostu, z dużą głową w szerokich ramionach, mało się zmienił pomimo ciężkiej pracy, osiwiał trochę i zżółkł; w siwych oczach pojawiła się zaciętość, na wargach drgał chwilami sarkastyczny uśmiech. Wiedział, że czeka go walka. Myśl ta sprawiała mu drapieżną przyjemność.

Na dworcu spotkał parę znajomych twarzy, zmrużył oczy, nie oglądając się przeszedł salę i wybiegł na peron.

Wracał do domu pieszo. Potrzebował ruchu i trochę zwłoki.

Przez całą drogę usuwał, o ile mógł, myśl o pustym domu.

Szedł śpiesznie. Od czasu do czasu ściskał w pięści parasol, gryzł wargi.

Przy bramie ogrodu zdjął kapelusz... Obejrzał się po za siebie. Drżącą ręką szukał klamki, a wzrokiem obrzucał wierzchołki drzew po nad parkanem.

Wszedł.

Zachodzące światło oświecało czerwonym blaskiem okna w pustym domu. Przez otwarte naoścież drzwi widać ciemną sień. Ponter wyszedł na ganek, popatrzył na stojącego u furtki Poszedł ku niemu z początku zwolna, jakby własnym oczom nie wierzył.

Dr. Faust obrzucił okiem puste ścieżki, pusty trawnik, przesunął ręką po czole. Ból ścisnął mu gardło.

(D. c. n.). *Osłoja.*

W sadzę kryjąc bór i pola,
od wybrzeży idzie dym
I przed sobą burzę pędzi,
grom mającą w łonie swem.

Niech na Locksley-Hall upadnie,
niecąc ogień, grad lub śnieg...
Wichr się zrywa! dmie ku morzu!
ja porzucam już ten brzeg.

Przeł. *Jan Kasprowicz.*

Kontynenty i geologiczne ich dzieje.

Budowa architektoniczna ziemi zależna jest od sprzeczności pomiędzy stałemi a płynnemi żywiołami. W kierunku wschodnio-południowym cisną się w kształcie klinowatym potężne masy ziemi od jednego do drugiego bieguna, których grzbiety górskie wznoszą się do 25000 stóp ku słońcu. Pomiędzy niemi rozpościera się majestatycznie ruchoma płaszczyzna mórz świata, których dno równie głęboko się zanurza w ciemne, przerażające tonie. Jako kontynenty zwykliśmy oznaczać cokoły, na których skorupiasta i stała powierzchnia ziemi wystercza z okalającego ją morza, oceanami zaś nazywamy te płynne odmęty, które rozdzielają ziemie. Tak jak pospolicie liczymy tych ziem pięć, podobnie i powierzchowny układ pozwala widzieć trzy oceany.

Ale choćby jeno pobieżne postrzeżenie okazuje, że te pojęcia szkolne nie odpowiadają istocie rzeczy. Według tych pojęć powinneby oceany i kontynenty stanowić zwarte w sobie i oddzielne całości. Baczniejsze przyjrzenie się kuli ziemskiej mówi nam, że tak nie jest. U przylądka Dobrej nadziei kojarzy się Atlantyk z morzem Indyjskiem, a pod przylądkiem Horna ze Spokojnym.

Natomiast Spokojny i Indyjski znajdują swoją drogą bezpośrednie zetknięcie pomiędzy gromadą wysp, które okalają południowo-wschodnie pobrzeża Azji, tudzież wzdłuż pobrzeży australijskich. Wszystkie części mórz świata, łączą się z sobą, gdyż kontynenty nie rozprzestrzeniają się w nieprzerwanej płaszczyźnie od bieguna do bieguna. Geograficznie przedstawia Europa jeno nieznaczny przyrostek olbrzyma azjatyckiego, ten zaś znajduje przez półwysep Sinaji połączenie obszerne z kontynentem etjopskim. Gdy Australja łączy się bardzo ściśle z Azją południową za pośrednictwem wysp Sundzkich, Nowej Gwinei i Moluckich, to międzymorze Panamskie tworzy niemal przypadkowe połączenie dwóch utworów ziemi, zupełnie innorodnych tak co do ich budowy, zaludnienia, jak i dziejów. Jeżeli bezwzględne odosobnienie od wszelkich innych pobrzeży jest głównym warunkiem dla pojęcia kontynentu, to prędzej godne są tej nazwy olbrzymie, obecnie zagrzebane pod pokrywą lodów, niezmierzone, ziemie bieguna południowego, te ziemie antarktyczne, niż znane pięć części świata. Jeżeliby w kwestji tej rozstrzygać miała przedewszystkiem historja geologiczna, starożytność świata zwierzęcego i roślinnego obok odosobnienia, to oznaczyćby trzeba mianem części świata także ziemie takie, jak Madagaskar i Nowa Zelandja.

Kontynent zatem nie jest ściśle logicznem, ale tylko konwencjonalnem oznaczeniem. – Czy odpowiadało ono naturze rzeczy, dziejom ziemi, czy było genetycznie uzasadnione, to kwestja, której odpowiedzią zaczęła się geologja zajmować, skoro tylko stanęła na gruncie pozyskanych przez indukcję faktów i starała się dotrzeć do ogólnych, syntetycznych poglądów na rzeczy.

Lyell był jednym z najznakomitszych twórców doktryny o nieustannej przemianie w ukształtowaniu ziemi w perjodach dawniejszych. Świeższa wprawdzie, trzeciorzędowa formacja daje obraz dość podobny do dzisiejszej kuli ziemskiej, ale im więcej oddalamy się od teraźniejszości, tem znaczniejsze objawiają się różnice w rozdziale na lądy i morza na ziemi. Kontynenty są zatem według Lyella w pewnych perjodach w przybliżeniu trwałe, ale w ciągu czasów zmieniają się tak pod względem położenia jak i przestrzeni zajmowanej. Teorję Lyella poparło odkrycie rzeczywistych głębin morskich i osadów, które się obecnie tworzą w głębi najmniej 2200 sążni, czyli 4250 metrów pod powierzchnią morza, u grzbietów dzisiejszych lądów stałych, którego to faktu stwierdzenie zawdzięczać można bystrości Neumayra. Fakt ten został potwierdzony przez liczne nieregularności co do rozdziału znajdowanych organizmów, na które zwracali uwagę Heer, Bourguignet, Rütimeyer, a w najnowszych czasach Ihering, a nadto potwierdzony całym szeregiem faktów, którym w dalszym ciągu przyjrzymy się dokładniej. Dziś większość badaczy jest skłonna do przypuszczenia, że w biegu czasów geologicznych mogły zachodzić wszechstronne przemiany w przestrzeni lądów stałych, skłonna jest równie uważać dzisiejsze oceany za terytorja zapadłych i pogrążonych niegdyś kontynentów i w pewnych częściach lądów stałych widzieć resztki osadów morskich niegdyś.

W swoich *Kritias* i *Timeus* opowiada Plato o potężnej wyspie, która znajdować się miała w stronie zachodniej od słupów Herkulesa, a zatem dzisiejszej drogi Gibraltaru. Obszar jej miał być znacznie większy, niż Azji mniejszej i Lybji, władcy jej prowadzić mieli krwawe wojny z Egiptem, w którym zaszczepili świetną kulturę kraju

własnego. W końcu atoli, gdy wyspa znajdowała się już na szczycie potęgi i uspołecznienia, padła ofiarą trzęsienia ziemi, zapadając się jednej nocy z całą ludnością w głębie morza. Podania Platona opierają się bezwątpienia na podstawie bezwarunkowo-mitycznej, jakoż poczytują je już Strabo i Plinius za nieprawdopodobne. Niepodobna atoli odrzucić przypuszczenia, że osnowa tego mitu, poczerpnięta przez Platona, skądinąd dla jego celów socjologicznych, a o której dostał wiadomość prawodawca Solon od kapłanów egipskich, że osnowa ta urodziła się z zamierzchłych przypomnień o faktach, które świadczyły o pogrążeniu się mniejszych lub znaczniejszych obszarów ziemi w Atlantyku w czasach historycznych. Możnaby przytoczyć analogiczne stosunki naszych wybrzeży morza Północnego, gdzie równie przed rozpoczęciem lub z początkiem okresu już historycznego pochłonięte zostały znaczniejsze przestrzenie wybrzeży przez natarczywe zalewy morskie, gdzie jeszcze w trzynastem stuleciu doznały połączenia Zuydersee z morzem Północnem. Jakkolwiek zresztą było, czy Grecy byli, czy nie byli świadkami terytorjum Atlanty i jej zburzenia, to jednak geologiczne badania uczyniły bardzo prawdopodobnym fakt, że w czasie długich okresów zamierzchłych istniały wśród oceanu Atlantyckiego znaczne terytorja lądów, po których wyspy Faroerskie, Islandja i Grenlandja na północy, Azorskie zaś, Kanaryjskie, Madera, Kapwerdyjskie, St. Helena, Wniebowzięcia i Trynidad na płoudniu, przedstawiają resztki owych lądów, że zatem Atlantyk poczytać można jako stosunkowo bardzo świeże wtargnięcie wód.

Geologja posiada dwie drogi dla odszukania konfiguracji ziemi z ongi, i oznaczenia stosunku pomiędzy lądem i wodą. Naprzód śledzi zjawiska jednogatunkowych osadów na całej kuli ziemskiej i na podstawie tej usiłuje stwierdzić obręb granic oceanów z owych czasów — z drugiej strony zaś nastręcza jej także geograficzne rozpowszechnienie żyjących obecnie i wymarłych już stworzeń klucz nader pożądany. I pokazuje się, że nawet w najstarszym okresie naszej ziemi, w perjodzie Kambryjskim, mamy jeszcze ląd stały północno-atlantycki, na którego wybrzeżach mogła się była rozpowszechniać fauna morska Europy i Ameryki północnej. Pierwotny zawiązek morza Atlantyckiego stanowiło stosunkowo wąskie pasmo terytorjum atlantyckiego pomiędzy od nogą Bafińską na skrajnym wylocie Ameryki północnej, a Hiszpanją na południu i Czechami na wschodzie. Co do najbliższych okresów następnych, odnoszących się do Atlantyku, nie są jeszcze stosunki te wyjaśnione i dokładniejsze daty znajdujemy dopiero co do okresu formacji Jurajskiej. W okresie tym widzimy całą środkową Europę tonącą w falach morskich, które rozniosły bardzo obfite pokłady, skamieniałości po półwyspach morza śródziemnego, w łańcuchu gór Alpejskich, po całej Francji i Niemczech, a nawet daleko w Rosji. Podczas gdy to daleko na północ sięgające morze śródziemne w okresie Jurajskim znajdowało połączenie ku zachodowi z zachodnim indyjskim wielowyspem, a przez cieśninę Panamską z oceanem Spokojnym, ku południo-wschodowi przez Azję Mniejszą dolinę Eufratu i Persję z oceanem Indyjskim, widzimy je od północy i południa oskrzydlone przez dwa potężne kontynenty, które wypełniały znaczniejszą częśc dzisiejszego Atlantyku. Ku północy rozprzestrzeniała się północno-amerykańska masa kontynentu, aż ku Irlandji i Skandynawji — w południowej zaś stronie łączyły się Brazylja z Afryką bezpośrednio. Obydwu terytorjów stałego lądu rozległość i kształty — jak to okazał przedewszystkiem Neymayr, jesteśmy w stanie oznaczyć w tych zarysach z rozprzestrzenienia się po ziemi łatwych do rozpoznania osadów formacji Jurajskiej i kształty te w ciągu niezmiernie długich czasów nie ulegają zmianie, lecz trwają. Połączenia te stanowiły pomosty, po których Ameryka północna z Azją z jednej strony, a z drugiej Afryka i Ameryka południowa w ciągu całego perjodu kredowego, były w stanie produkta swoje przesyłać i przez nieustającą zmianę życia zwierzęcego i roślinnego, zapładniająco się odnawiać. Stosunek ten uległ zmianie dopiero w ciągu zbliżonej już do teraźniejszości formacji trzeciorzędowej: Południowo-atlantycki kontynent pogrąża się zwolna w zagłębienie, gdy natomiast północny niemal aż do końca tej ery opiera się zagładzie. Powolnie zanikają kształty lądu afrykańskiego, szczególnie na zagładę skazane są niższe gatunki zwierząt, znajdujące się w europejskiej i amerykańskiej formacji trzeciorzędowej. Starszy afrykańsko-indyjski żywioł, który obecnie ograniczony jest tylko do Maskarenów i Madagaskaru, doznaje i w swoich zwierzętach ssących bardzo wcześnie zagłady, giną małpozwierze, małpokoty — podrzędniejsze drapieżniki. Stopniowo rozprzęga się południowo-atlantycka masa w gromadę wysp, a na tych w starszej formacji trzeciorzędowej niegłęboko jeszcze pogrążonych, tworzą się rafy koralowe, szybko ulegające zniszczeniu w głębiach znaczniejszych, identyczne zaś ich gatunki znajdują się w północnych Włochach i ciągną, aż ku Indjom zachodnim. Że znaczniejsze połączenia lądowe istniały w południowo-atlantyckiem zagłębieniu, świadczy pojawianie się *Menatusa*, syreny, z organizmu podobnej i zbliżonej do tworów wielorybich, skazanych na przebywanie u wybrzeży, a znajdowanych dziś, przy rozdzielonych przez Atlantyk pobrzeżach Brazylji i Afryki zachodniej.

Zdaje się, iż resztki owych połączeń lądowych w przeszłości najświeższej tworzyły grupy wysp atlantyckich, jak Madera, Kanaryjskie, Kapwerdyjskie, które według pojęć nowożytnych badaczy natury przedstawiają pomiędzy sobą w połączeniu z Hiszpanją południową właściwą Atlantę. Wielce charakterystyczne i odznaczone piętnem

nie do przeoczenia ślimaki lądowe tej grupy wysp, stworzenia niezmiernie nieporadne i ulegające niewątpliwej zagładzie w wodzie morskiej, stanowią bezsprzeczne świadectwo o łączności niegdyś tych lądów i tworzą dla trzeciorzędowej formacji fauny europejskiej, aż do najświeższej przeszłości, integralną część istnienia. Typowe żywioły flory atlantyckiej, jak drzewa żmijowcowe, drzewiaste ostromlecze *euphorbiace*, wawrzyn kanaryjski i inne rozpowszechnione są bardzo w europejskiej florze formacji trzeciorzędowej.

Że zresztą połączenie pomiędzy Europą, a temi terytorjami atlantyckiemi sięgać musiało, aż niemal do teraźniejszości, udowadnia pojawianie się małpy na Gibraltarze i szerokie rozpowszechnienie zybuczków czyli wiwery*) w Hiszpanji i Francji południowej. Cętkowata (plamista) hjena, dziś w Afryce znajdowana często aż do granic Przylądka, znajdowała się aż do okresu lodowców nietylko w Hiszpanji i Włoszech, ale także w Niemczech i w Anglji. Podobną także do Makako gibraltarskiej małpę, opisał w nowszych czasach Hedinger, wygrzebaną z dyluwialnych pieczar Szwabji, afrykański zaś mors czyli koń jeziorny (płetwisty) znajduje się w odmianie nieco większej w namuliskach bardzo świeżych Europy południowej, afrykański zaś słoń pojawia się w Hiszpanji i Sycylji, a w postaci skarłowaciałej nawet na Malcie w przeszłości niezbyt odległej.

(Dok. nast.)

*) Wiwera, także gatunek kota piżmowcowego.

Przegląd pism.

»Przegląd poznański« tygodnik polityczny, społeczny i literacki Nr. 10—15; 1895.

Prasę polską, zaboru pruskiego czyto tę, która trwa przy sztandarze obrony praw narodowych, czy tę, która narkotyzuje społeczeństwo »dogmatem ugody« charakteryzuje — stwierdził to wcale oględny w sądach Chmielowski — jałowość myśli; prawie wcale nie informuje ona społeczeństwa o tych prądach postępowych, które coraz głębiej nurtują społeczeństwa zachodnie, a nawet tak sympatyczne pisma jak Orędownik dra Szymańskiego lub Goniec wielkopolski nie wykraczają poza ramy walki politycznej czego następstwem jest pewna oschłość treści. Redakcje tych pism zapominają widocznie, że najpomyślniejsze warunki polityczne na nic się nie przydadzą, jeśli życiu narodowemu zbraknie treści, jeśli w walce o te warunki zapomni się o rozwoju społeczeństwa. Stąd rozwielmożnienie się w Poznańskiem klerykalno-konserwatywnych czynników, grupujących się około Kurjera poznańskiego, a tamujących z umysłu dopływ jakiejkolwiek myśli postępowej, stąd ogólne obniżenie poziomu umysłowego, stąd zastój, który bodaj czy nie jest w planie konsekwentnej eksterminacyjnej polityki Niemców. Z uznaniem tedy powiem, z czcią patrzeć godzi się na usiłowania pisma, którego celem wyrywanie ze stanu odrętwienia i apatji, pisma, które — aby rzecz krótko określić — zajęło wyłomowe stanowisko. A zajmuje je Przegl. pozn. we wszystkich kierunkach życia społecznego i narodowego; — wykazuje nicość polityki ugodowców, dowodząc, że »z germańskiego nieba« nie »zaświta dla nas słońce«, ale raczej »piorun jeden za drugim spadać będzie« (nr. 10), ubolewa nad bankructwem umysłowem Księstwa, któremu, co dnia ubywa owych sił umysłowych, jakiemi niegdyś zasilało inne dzielnice Polski (nr. 10) oraz nad krótkowidztwem koterji politycznych, uniemożliwiającem wszelką pozytywną pracę (nr. 15), gromi wyzyskiwanie religji dla celów polemicznych ze strony Kurjera poznańskego (nr. 12), zwraca uwagę na nieład w Tow. pomocy naukowej i zacofanie dyrekcji — a we wszystkich tych artykułach, czy wyrażających przekonania redakcji, czy pisanych dzielnem piórem Sulli, fejletonisty Przeglądu, nie brak obok ciętości, także gruntownej argumentacji. Dalej wiele kwestji, które zajmują prasę europejską, znajdują echo w Przeglądzie: sprawa robotników kolejowych w Szwajcarji (nr. 17), ankieta w sprawie kobiet (nr. 11 i 12), reforma wyborcza w Austrji (nr. 11). Z kolei badania naukowe, a właściwie popularyzowanie ich z uwzględnieniem potrzeb średniej inteligencji ma tu również swą rubrykę. W dziale literackim, z którego beletrystykę przeniesiono do odcinka, Przegląd pomieszcza poezje (często przedruki) oraz sprawozdania (w kilku ostatnich nrach, o »Melancholikach« Orzeszkowej pióra K. Bartoszewicza) z polskiej i obcej literatury — z tej ostatniej jedyne to informacje, jakie ma Poznańskie. Uzupełniają każdy nr. sprawozdania z teatru i sal koncertowych, pisane głównie przez Wł. Rabskiego i drobne notaty bibljograficzne. Jest tu wreszcie, podobnie jak w Głosie warszawskim, dział błędów językowych po części przedrukowywany z Głosu, a znaczenie, jakie ma ten dział określiłem, zdając niedawno sprawę z tego ostatniego tygodnik.

Przegląd, z przykrością przychodzi stwierdzić, nie stoi na wyżynie postępowych tygodników warszawskich. Już ta okoliczność, że w dziale badań naukowych i beletrystyki posługuje się przedrukami, obniża do pewnego stopnia jego wartość literacką, bynajmniej jednak nie obniża tego doniosłego znaczenia, które wyżej starałem się określić. Że zaś tak jest, przyczyna w braku poparcia ze strony społeczeństwa, w którem przebojem trzeba sobie zdobywać czytelników i abonentów. Miejmy nadzieję, że w miarę szerzenia się w społeczeństwie i pogłębiania zasad, którym Przegląd służy, i pismo będzie się doskonaliło pod względem swej wewnętrznej zawartości.

O Galicji, choć korespondencje stąd nieregularne, posiada Przegląd wiadomości dokładne i sprawy tutejsze omawia ze znajomością rzeczy.

J. A. Sierpniak.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.